



Mirosław Derecki

NARODZINY MUZEUM

Wieczorami przez pałacowy park w Kozłówce niesie się potężny ryk. To dwieście byków, hodowanych przez miejscową rolniczą spółdzielnię produkcyjną w pobliskich pofolwarcznych budynkach, daje znać o swoim istnieniu. Latem jest jeszcze gorzej: trzeba zamykać naглуcho wszystkie okna w pałacu, bo do efektów słuchowych i... węchowych dołącza się jeszcze plaga much, ciągnących chmurami od obór ku białym murom dawnej rezydencji Zamoyskich. Z okien wielkiego „czerwonego” salonu na pierwszym piętrze pałacu doskonale widać podniszczone dachy obór. Po wejściu na teren „hodowlanej fermy” rzuca się w oczy przede wszystkim hałda obornika oraz błotnista topiel dziedzińca.

Nic dziwnego, że kolejnym dyrektorom pałacu muzeum w Kozłówce owe hodowlane problemy spędzają sen z powiek - nie tylko zresztą i w przenośni. Jakże się nie denerwować, kiedy - pomijając już wszystkie inne sprawy - patrzy się z dnia na dzień na idące ku ruinie dziewiętnastowieczne, wpisane do rejestru zabytków, budynki folwarczne.

Obecny dyrektor muzeum, Krzysztof Kornacki, zwracał się z niejednym apelem do prezesa spółdzielni o podjęcie niezbędnych, i właściwych tego rodzaju obiektom, remontów. Prezes niezmiennie mówi, że nie posiada na takowe cele środków. A żeby nikt nie miał przypadkiem do niego pretensji, zwrócił się do wojewódzkiego konserwatora zabytków w Lublinie, Przemysława Maliszewskiego o odpowiednie sumy na remont obór, oraz przystąpienie do prac remontowych. Tak jakby nie było rzeczą oczywistą, że o stan posiadanych budynków ma dbać przede wszystkim ich użytkownik! Zresztą, powiada dyrektor Kornacki, problem jest przede wszystkim w tym, że dawny folwark, będący integralną częścią zabytkowego zespołu pałacowego powinien znaleźć się w gestii muzeum.

Pałac-muzeum w Kozłówce przechodził w ciągu ostatnich trzydziestu pięciu lat nader zmienne koleje losu. Zaczęło się wszystko jak najlepiej, bo już w 1944 r. podlubartowską siedzibę Zamoyskich otoczono staranną opieką, nadano jej status muzeum i w dodatku - narodowego! Notabene było to w tamtym okresie „Polski lubelskiej” pierwsze działające muzeum na wyzwolonych terenach.

Piękny pałac, otoczony szesnastohektarowym parkiem, postawiony około 1740 roku według projektu słynnego architekta Józefa Fontany (a następnie przebudowany w XIX w. i

na początku XX w.), wyszedł z działań wojennych w stanie nienaruszonym. Zachował się też prawie w całości wystrój wewnętrzny, umeblowanie i wyposażenie w przedmioty codziennego użytku. Ostatni właściciele, opuszczając Kozłówkę, wywieźli wprawdzie do Warszawy sporo obrazów, porcelanę, srebra stołowe, dywany, a także niemało mebli, ale pałac nie został ogołocony tak jak na przykład zamek łańcucki przez hrabiego Alfreda Potockiego. Była to wciąż jeszcze siedziba nadająca się do natychmiastowego zamieszkania, co więcej, zachowała atmosferę, jaką na przełomie XIX i XX wieku, w czasie największego rozkwitu Kozłówki, nadali jej Anna i Konstanty Zamoyscy. To właśnie oni umeblowali i urządzili wnętrza mieszkalne według własnych upodobań; przetrwały następnie, niezmiennie przez kolejnych spadkobierców, aż do 1944 r. Powstałe tuż po wyzwoleniu kozłowieckie „muzeum narodowe” było więc siłą rzeczy przede wszystkim - jak byśmy to dzisiaj określili - „muzeum wnętrza pałacowych”.

Poza głównym pałacowym budynkiem z okazałym korynckim portykiem wspiętym na trzech arkadach, z którego otwierał się widok na wielki zielony gazon i biegnący półkoleście wokół niego podjazd, Kozłówka mogła pochwalić się piękną kaplicą, wzorowaną na wersalskiej, w której szczególnie atrakcyjne były zachowane do dzisiaj bez najmniejszego uszczerbku witraże. Po obu stronach podjazdu ciągnęły się oficyny kuchenne i mieszkalne, kordegardy, wozownie.

Meble i liczne obrazy znajdujące się w Kozłówece nie należały na ogół do dzieł wybitnych. Najwięcej było tu kopii, zdarzały się podobno i oleodruki oprawne w piękne ramy, a antyczne meble sprowadzano masowo, pod koniec XIX wieku, z wytwórni paryskich. A jednak pałacowe wnętrza miało swój szczególny charakter i swój niepowtarzalny styl.

W 1944 r, po przejściu pałacu przez państwo, znajdowało się tam około 2400 obrazów, zasobna biblioteka liczyła niespełna pięć tysięcy tomów. Jerzy Wolff pisał w 26 numerze „Odrodzenia” z 1945 r. m. in.: *Kozłówka już nie udekorowana, ale literalnie wytapetowana była obrazami - obrazy wisiały w korytarzach, w ciemnych sionkach, łazienkach, pokoje obwieszane były pod sam sufit. W wielkim tzw. „czerwonym” salonie obrazy wiszą dotąd pomiędzy oknami na wysokości drugiego prawie piętra (sala jest bardzo wysoka), w takich warunkach oświetlenia, że tylko w dni bardzo jasne zorientować się można, czy płótno jest portretem męskim czy kobiecym.*

Już w 1944 roku w północnej oficynie pomieszczono Państwowy Dom Dziecka, w południowej - w trochę późniejszym okresie - znalazła, lokum szkoła podstawowa. Na pewien czas wprowadził się również na teren zespołu pałacowego Państwowy Ośrodek Maszynowy oraz agendy szeregu innych instytucji, m.in. nawet huty szkła z Lubartowa.

Tymczasem ówczesny Państwowy Ośrodek Muzealny wegetował przez wiele, wiele lat pod rządami kolejnych kierowników-kustoszy. Wegetował - nie ze względu na ich

nieudolność, ale po prostu dlatego, że władze nie bardzo wiedziały, co począć z zabytkowym, ale położonym na uboczu od szlaków turystycznych pałacem. A poza tym wciąż brakowało pieniędzy na doprowadzenie Kozłówki do właściwego stanu. Przez wiele lat „cykano” kolejne zastrzyki pieniężne na opędzenie najniezbędniejszych potrzeb.

A potrzeby, były ogromne. Zamoyscy doceniali wprawdzie sprawy higieny i dlatego pałac został swego czasu skanalizowany, a pomysłowo skonstruowana „hydrofornia” dostarczała wody do zbiorników na wieżach pałacowych przy pomocy urządzenia poruszonego przez kierat konny, ale bronili się przed elektrycznością i kaloryferami.

Światło elektryczne zostało założone w pałacu dopiero na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych przez ówczesnego kustosza, Kazimierza Popiołka. Do dzisiaj Kozłówka jest tak obficie wyposażona w lampy naftowe i świecowe kandelabry, że wzbudziło to niekłamany zachwyt wśród przybyłych tutaj jesienią ubiegłego roku uczestników I Ogólnopolskiego Zjazdu Muzealników. Płomienie świec i blask ognia, padający od czynnych po dzień dzisiejszy kominków, stanowiły przyjemne zaskoczenie. Coraz mniej mamy w kraju takich autentycznych, nietkniętych „zębem współczesnej cywilizacji” wnętrz pałacowych.

Ta „atrakcja” Kozłówki to jednak cały wielki i skomplikowany problem dla muzeum. Na ogrzanie, przy pomocy trzydziestu kilku pieców-olbrzymów budynku pałacowego idzie rocznie sto ton węgla najwyższej jakości! A co z resztą budynków, na które nie ma osobnego przydziału węgla? Poza tym stare, zabytkowe kafle nie wytrzymują węglowego żaru, co roku przynajmniej jeden piec pęka. Dawniej palono drzewem z rozległych kozłowieckich lasów, dziś już nikt nie może sobie na to pozwolić.

Jedną z korzyści ubiegłorocznego zjazdu muzealników był fakt, że na dobrą sprawę dopiero wtedy naprawdę odkryto Kozłówkę; jej urok, jej walory.

Jeszcze stosunkowo nie tak dawno nazywano po cichu Kozłówkę „muzealną rupieciarnią całej Polski”. Działo się tak, bo przez bardzo wiele lat pałac Zamoyskich był wykorzystywany jako centralna składnica muzealna, drzwi zwiedzających zostały zamknięte.

Przez wiele powojennych lat pałac kozłowiecki był systematycznie ogoławany z mebli i obrazów przez kolejne instytucje kulturalne, muzea a nawet... osoby prywatne. Wiele z owych „depozytów” przepadło bezpowrotnie. Inne znajdują się w licznych polskich muzeach, które wcale nie kwapią się ze zwrotem. Kiedy przed kilku laty powstała idea przekształcenia Kozłówki w muzeum wewnątrz pałacowych, rozpoczęto wielką akcję „rewindykacji” tutejszych zbiorów. Zajmowała się tym energicznie poprzednia dyrektorka muzeum, Irena Paszyn. Teraz boje o zwrot eksponatów toczy dyrektor Krzysztof Kornacki, „rezydujący” tutaj od 1 lutego 1979 r.

Status Kozłówek zmienił się w sposób oficjalny z końcem 1977 r. dzięki zarządzeniu nr 35 Ministra Kultury i Sztuki z dnia 18 listopada - w *sprawie utworzenia Muzeum-Palacu w Kozłówce i nadanie mu statutu*. Związane było z tym między innymi przyznanie wysokiej sumy na renowację obiektu. Musieli też zacząć wyprowadzać się dotychczasowi lokatorzy budynków wchodzących w skład zespołu pałacowego

Jako jeden z pierwszych wyprowadził się Państwowy Dom Dziecka Niestety, nie cieszył się on przez wiele lat swego istnienia dobrą opinią kolejnych kierowników i dyrektorów muzeum. W dużej mierze Dom przyczynił się do ogromnej dewastacji parku, nie mówiąc już o samym budynku, który przez wiele lat eksploatował. Po przystąpieniu do prac przez remontowe ekipy „pekazetów” odkryto np. że strych przez wiele lat zastępował wychowankom... ubikację. Lokatorzy dawnej „hydroforni” nagromadzili z kolei przez lata w piwnicach budynku, sięgające sklepień, zwały popiołu z pieców, traktując piwnice po prostu jako... śmietnik. Najlepiej układało się sąsiedztwo ze szkołą, która nieraz przykładała ręki do porządkowania parku.

Po ponad trzydziestu latach eksploatowania północnej oficyny przez Państwowy Dom Dziecka trzeba było dokonywać kapitalnego remontu od dachu aż po piwnice. Inna sprawa, do ostatecznej rujnacji przyczyniły się - jak dodaje dyr. Kornacki - jeszcze i same ekipy remontowo-budowlane. W 1978 roku na długie letnie miesiące zdjęto pokrycie dachu oficyny w celu całkowitego wymienienia dachówki. Ale nie pomyślano o zabezpieczeniu stropów. Lato zaś 1978 r. było mokre, dżdżyste i deszczowe. Woda lała się przez kolejne stropy, dochodząc aż do piwnie. Jeszcze dzisiaj można oglądać na sufitach wielkie połacie odpadniętego tynku.

W trakcie remontu dachu kaplicy odpryski zrzucanych byle jak z góry dachówek poważnie pokaleczyły piękne drzwi zewnętrzne. Lubelskie „pekazety” zabrały drzwi do renowacji. Następnie wystawiono rachunek... opiewający na ćwierć miliona złotych! Wzbudziło to protest dyrekcji muzeum. Ostatecznie, salomonowym wyrokiem specjalnej komisji, rozłożono tę sumę po połowie na obie instytucje.

Koszty prac związanych z renowacją kozłowieckiego zespołu pałacowego opiewają – według cen z 1976 r. - na 250 milionów złotych. Dyrektor Kozacki ma nakreślony długoletni plan działania: po zabezpieczeniu budynków - prace nad urządzeniem centralnej kotłowni i doprowadzeniem centralnego ogrzewania dla wszystkich obiektów, budowa hydroforni i oczyszczalni ścieków. Następnie przyjdzie czas na wewnętrzne remonty oficyn, które pomieszczą pracownie konserwatorskie, magazyny i służbowe mieszkania dla pracowników. W oficynie północnej będzie w przyszłości znajdował się hotelik dla uczestników konferencji i zjazdów naukowych oraz dla studentów - praktykantów. Kiedy z oficyny południowej

wyprowadzi się szkoła, zostaną tam przeniesione biura muzealne. Pracownicy zamieszkają, w kordegardach...

Są już wykonawcy. Ale prace będą się przecież ciągnęły całymi latami. Czy dyrektor Kornacki wierzy w dotrzymanie terminów? A co ma robić?

Kiedyś, w przyszłości, gdy terminy zostaną ostatecznie skorygowane a plany wykonane, muzeum – pałac w Kozłówce będzie mogło rozwinąć w pełni prace, istniejących już teraz działów muzealnych, działu zbiorów sztuki, składnicy dzieł sztuki zakwestionowanych na komorach celnych przy nielegalnym wywozie za granicę biblioteki działu konserwacji ogrodu i parku pracowni fotograficznej oraz planowanej pracowni konserwacji mebli, działającej dla potrzeb muzeów z całego kraju.

Do tego wszystkiego dyrektor ma na razie 30 osób personelu, z czego większość stanowią pracownicy fizyczni i administracyjni. Potrzeba już teraz - poza pracującymi - jeszcze czterech historyków sztuki i dwóch konserwatorów. Ale do Kozłówki nikt nie przyjedzie na stałe jeżeli nie dostanie tam mieszkania. A mieszkań w Kozłówce nie ma. Nadzieja - w budowlanych i prowadzonych przez nich pracach remontowych.

Na razie pracuje ich... ośmiu.

W przyszłości Kozłówka będzie miała przestronną sale konferencyjno-kinową umieszczoną w budynku dawnej „teatralni”. I wtedy, być może, zakłady przemysłowe Lubelszczyzny, które już dzisiaj służą pałacowi-muzeum pomocą i poparciem, będą tutaj odbywały ważne konferencje, a w stylowych wnętrzach głównego budynku zostanie podpisany niejeden układ handlowy z zagranicznymi kontrahentami. Będą przyjeżdżali jeszcze liczniej niż teraz zwiedzający, w pobliżu pałacu będzie można coś zjeść w restauracji urządzonej w jednym z zabytkowych budynków.

Na razie jednak, oprócz spraw remontowo - adaptacyjnych, najbardziej istotną rzeczą jest odzyskanie owych licznych eksponatów stanowiących własność Kozłówki, tych, które swego czasu zostały skatalogowane i pokwitowane przez wypożyczających.

Ministerstwo Kultury i Sztuki dało dobry przykład zwracając wszystkie przedmioty wypożyczone kiedyś z Kozłówki. Oddał rzeczy wzięte w depozyt Dom Architekta w Kazimierzu nad Wisłą, wróciła część eksponatów z Łańcuta i Płocka. Ale lista muzeów i instytucji, które są „winne” jest bardzo długa: Muzeum Górnośląskie w Bytomiu - 18 pozycji, Muzeum w Toruniu - 14 pozycji (większość - to części pięknego kozłowieckiego serwisu „rozparcelowanego” także do Zamościa i Wrocławia), Państwowe Muzeum Sztuki na Wawelu - tzw. „krzesło kozłowieckie”, Muzeum w Białymstoku - 4 obrazy. W warszawskim Muzeum Mickiewicza jest 26 eksponatów z Kozłówki w Muzeum Narodowym we Wrocławiu - 48 pozycji, w Muzeum Okręgowym w Lublinie - 110. I tak dalej, i tak dalej...

- Co robicie, aby odzyskać waszą własność? - pytam dyrektora Kornackiego.

- Przede wszystkim wysyłamy odpowiednie oficjalne pismo z prośbą o zwrot.
 - I jakie zwykle otrzymujecie odpowiedzi?
 - Najczęściej nie otrzymujemy odpowiedzi w ogóle. Choć oczywiście, nikt nie zaprzecza że przedmioty z Kozłówki znajdują się w zbiorach danego muzeum.
 - A przypadki szczególnie drastyczne?
 - Na przykład Łańcut. W 1977 roku Muzeum w Łańcucie otrzymało specjalną decyzję pisemną Ministerstwa Kultury i Sztuki w sprawie zwrotu do Kozłówki portretu Zofii Zamoyskiej z dziećmi. Na listy i pisemne monity nie odpowiadają. A nieoficjalnie mówią że jak znajdą obraz równie atrakcyjny, który będzie mógł im powetować stratę tego, o który się dopominamy...
 - To co?
 - To nam wtedy Zofie Zamoyską oddadzą.
- Muzeum Pałac w Kozłówce przeżywa swoje drugie narodziny. Ale nie są to narodziny łatwe i bezbolesne.

Pierwodruk: „Kamena”, 1980, nr 9, s. 1,8-9.